

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Czukcze (str. 340).

## Rośliny cebulkowe.

POGADANKA NAUKOWA.

Już słońce coraz silniej przygrzewa, po ogrodach i łąkach pełno wszędzie zieleności i różnobarwnych kwiatów. Znowu też rozpoczniemy z czytelnikami naszego Pisemka wycieczki botaniczne. Wielka to przyjemność zrywać kwiaty i układać z nich równianki, ale nie mniejsza, wierząc mi, rozpoznawać je sposobem naukowym, podpatrywać ich tajemnice, klasyfikować i określać ich rodziny. Urządzanie zielników jest także miłą bardzo rozrywką, w latach minionych podawaliśmy do tego wskazówki, do nich więc odsyłamy czytelników. A teraz pogawędzimy z wami o roślinach, które najobficiej kwitną w obecnej porze, to jest o tak zwanych cebulkowych.

Wybermy z nich trzy gatunki najpospolitsze, lilią, narcyz, kosaciec (iris). Spostrzegamy odrazu pomiędzy nimi wielkie podobieństwo, dużo cech wspólnych. Wszystkie są jednoliścienne, to jest, wychodząc z ziemi, jeden liść wypuszczają, jak trawy, a nie dwa, jak fasola i wiele innych roślin. Powtórnie mają jedno tylko okrycie kwiatowe zabarwione, tworzące koronę i kielich zarazem. Wiecie, że inne kwiaty mają najczęściej kolorową koronę w zielony kielich otuloną. Wszystkie kwitną wcześniej na wiosnę, rozwijają się szybko, a co więcej, wszystkie mają korzenie niezmiernie wytrwałe. Wiecie dobrze, jak to te cebulki można po okwiśnięciu najbezpieczniej wyjąć z grządek, przesuszyć, a nawet schować do szuflady. Potem tylko je włożymy w ziemię, dajmy wilgoć potrzebną, a wnet z tej zeschniętej cebulki wystrzelą liście zielone i najpiękniejsze kwiaty.

Dla tego to rośliny cebulkowe są zwykle ozdobą stepów i w ogóle okolic narażonych na długie susze. W Afryce południowej, na przykładu Dobrej Nadziei, przez kilka miesięcy z rzędu trwa ciągła posucha, rozległe przestrzenie zamieniają się w nagą pustynię, grunt pęka, a wszystkie trawy i zioła w pył się rozsypują. Tylko cebulki drzemają spokojnie w ziemi, czekając sposobnej chwili, gdy będą mogły wyrzeć znów na świat Boży. Bo też wybornie są zabezpieczone; twarda, drzewiasta prawie błonka, otula je szczelnie, a chociaż naciśnięta dokoła zeschnęła jak kamień ziemia, zgnieść ich jednak nie zdoła. A gdy pora deszczów nadejdzie, i grunt się odwilży, taż sama pustynia, jakby różdżką czarodziejską tknięta, w przeciągu dni kilku inną postać przybiera. Krzaczek wyrasta przy krzaczku, a z pośród świeżych zielonych listeczków wychylają się niezliczone kielichy kwiatowe, jedne od dru-

gich piękniejsze: żółte, różowe, purpurowe, to znów białe, jak śniegu płateczki. Taż sama przestrzeń, niedawno jeszcze posępna i szara, jaśnieje tysiącem barw i zielenością najświetniejszą.

Toż samo powtarza się po części i na stepach zachodniej Azji, a nawet na Llanosach amerykańskich, nigdzie jednak rośliny cebulkowe nie występują tak obficie, jak na przykładu Dobrej Nadziei, ztamtąd też pochodzi dużo ozdobnych gatunków, hodowanych w ogrodach naszych.

Wymieniliśmy na początku trzy kwiaty cebulkowe, lilią, narcyz, kosa ciec i zaznaczyliśmy pomiędzy nimi cechy wspólne; teraz poszukamy różnic, a są, i znaczne, bo trzy te kwiaty do trzech oddzielnych rodzin są zaliczane. Przegląd nasz rozpoczniemy od rodziny lilii, słusznie jej się to pierwszeństwo należy. Tę piękną ogrodową lilią białą każda paniątka tyle razy miała w ręku, tak uważnie jej się przypatrywała, a jednak, czy każda potrafi na niewidziane opowiedzieć dokładnie, jak to ona wygląda, ile ma płatków, ile pręcików? Niejedna z dziewczątek, hodująca starannie tę lilią w ogródku, wie o niej tylko tyle, że jest biała, prześliczna, pachnąca... ale teraz obejrzyjmy ją lepij, inaczej. Obaczmy najpierw, że tych dużych płatków białych jest sześć; trzy zewnętrzne możnaby uważać za kielich, trzy wewnętrzne za koronę. Takie okrycie kwiatu, w którym braknie kielicha lub korony, albo, gdzie je trudno rozróżnić, botanicy nazywają okwiatem, po łacinie *perianthum*. Pręcików w lilii jest także sześć, pylniki ich duże wypełnione są żółtym pyłkiem.

Ale jeszcze naszemu lilii nie obejrzelismy tak, jak należy; pośród sześciu cienkich pręcików obaczmy znacznie grubszy, do maczugi podobny słupek. Na długiej jego szyjce przytwierdzone jest zgrubiałe znamię, a niżej widać znów zawiązek nasienny, bo jest cały na wierzchu, jakby wypchnięty z dna kwiatu. Taki zawiązek nazywa się górnym, albo wolnym. W innych kwiatkach bywa schowany tak głęboko, że ledwo wierzchołka jego dojrzeć można. Wtedy zowie się dolnym albo zrosłym. Na zawiązku lilii obaczmy trzy wydatne żeberka, a przeciąwszy go w poprzek, przekonamy się, że ma w środku jakby trzy komóreczki oddzielne. Botanicy nam powiedzą, że ten zawiązek składa się z trzech owocków, zrosniętych z sobą. Widzicie więc, że owockami nazywają części składowe tak, jak części korony płatkami.

Czy uważaliście na płatkach lilii te rowki, czy bruzdki, ciągnące się wzdłuż środkowego nerwu? Gdyby pszczołka usiadła na niej, do tych rowków zwróciłaby się odrazu, i tam zapuściłaby swoje trąbkę, zgadując instynktem, że tam właśnie znajdzie miód słodki, bo to są tak zwane miodniki.

Nie zawsze te miodniki jednakowo wyglądają; u innych kwiatów ukazują się w postaci łuszek, narości, gruczołków rozmaitych, zawsze jednak wydzielają płyn cukrowy, który przemyślnie pszczoły tak dobrze umieją zużytkować.

Z innych gatunków lilij najpospolitszą w naszych ogrodach jest żółta, o płatkach pomarańczowej barwy, ciemnymi plamkami upstrzonych; lilia ta odznacza się szczególnymi czarnymi bulwkami, wyrastającymi w kątkach liści; rośnie dziko w południowej Europie. Piękna lilia biała pochodzi ze wschodu, głównie z Syrii i Palestyny, równie jak i inne ozdobniejsze ogrodowe gatunki, jak lilia czerwona i lilia nakrapiana.

Mamy jednak i swojską lilijkę, mniej okazałą ale miłą bardzo. Można ją niekiedy napotkać w lasach i zaroślach, nie należy jednak do kwiatów pospolitych. Płatki jej brudno-purpurowe, ciemnymi plamkami upstrzone, odgięte są w taki sposób, że tworzą coś nakształt zawoju; ztąd zowią ją zwykle zawojkiem. Nazwa naukowa jest *Lilium martagon*. Niższe jej liście ułożone są okręgowo nokoło łodygi, jakby w gwiazdkę. Przepyszne takie lilijki zbieraliśmy w wielkiej obfitości w pięknej dolinie tatrzańskiej, zwaną Biełskim borem, po niemiecku Wildbach, w okolicach Kieszmarku na Węgrzech.

Do rodziny liliowatych zaliczają wiele innych roślin cebulkowych, które mają zawiązek górny, jako to: hyacenty, korona cesarska, szachownica, czyli fritillaria, kwiatokłósniki czyli asfodele i t. d. W koronie cesarskiej obaczycie bardzo widoczne miodniki, powyżej nasady płatków umieszczone. Są to dołki okrągłe, słodkim płynem zwilżone, wyglądają, jak perełki.

Trzeba jednak wiedzieć, że wszystkie te ogrodowe kwiaty w stanie dzikim nie są wcale tak strojne i okazałe, gdyż w umiejętnych rękach ogrodników, przez staranne hodowanie zmieniły postać i barwę. Tulipany, po łacinie *Tulipa Gesneriana*, tak przezwane od znakomitego przyrodnika XVI wieku, Gesnera, który je miał rozpowszechnić w Europie, rosną dziko na łąkach Azji Mniejszej i Tracji, lecz tam mają zawsze jednostajną karmazynową barwę, żółtą przy nasadzie płatków; nigdy też w stanie dzikim nie bywają pełne. Te wszystkie odmiany strzępiaste, nakrapiane, są dziełem sztuki ogrodniczej, są to właściwie potwory, piękne, okazałe, ale zawsze potwory. Do nas tulipany dostały się z Konstantynopola, gdzie je najwcześniej po ogrodach zaczęto hodować. Podobno nawet nazwa ich pochodzi od tureckiego wyrazu *tulban*, to jest turban, do którego kwiat ten przedstawia niejaki podobieństwo. Można jednak i w Europie w wielu krajach napotkać pewien ga-

tunek dziko rosnących tulipanów. Kwiatek ten nieduży, jasno żółty i nieco pachnący, przytrafia się czasem i na Podolu.

Na Podolu i Ukrainie jest więcej dziko rosnących roślin liliowatych, niż w okolicach Warszawy. Wyliczymy tu niektóre gatunki, które możecie napotkać na łąkach. Szafirki, podobne do hyacyntów, mają kwiatki błękitne lub szafirowe. Cebulica dwulistna odznacza się dwoma długimi, wązkiemi liśćmi, które sterczą po obu stronach łodyżki, ma ładny kwiateczek błękitny, o płatkach śpiczastych, rozłożonych. Śniedek żółty kwiatki ma podobnego kształtu, ale żółtej barwy. Rzadziej już napotkać można u nas śniedek baldaszkowy, o kwiatach białych, ułożonych w kształt baldaszka, to jest parasola. Kwiatek ten we Francji nosi zabawną nazwę: *La dame d'onze heures*, bo ma tę własność, że się otwiera dopiero o godzinie jedenastej.

W okolicach Puław i Kazimierza w Lubelskiem można niekiedy znaleźć w zaroślach kwiat dziki, piękniejszy od tych wszystkich, któreśmy tu wyliczyli, z barwy i kształtu do białej lilii podobny. Uczony Krzemieńczyanin Andrzejowski, który go tam znalazł najpierwszy, nadał mu nazwę Czackii na cześć Tadeusza Czackiego. Właściwą ojczyzną tej rośliny są góryste okolice południowej Europy.

A teraz, czy to nie kłopot prawdziwy? wymieniliśmy tyle pięknych kwiatów, tyle barw świetnych mignęło nam przed oczyma, czujecie jeszcze zapewne cudną woń lilii białej; jakże tu przejść od tego wszystkiego do pocziwej kuchennej cebuli, która jakkolwiek pożyteczna, nie odznacza się przecież ani wytworną postacią, ani wonią wyszukaną. A jednak trudnoż jej tego pokrewieństwa zaprzeczyć, bo cebula należy do rodziny liliowatych, równie jak czosnek, pory, szalotka. Kwiatki cebuli mają wszystkie cechy liliowatych, zawiązek górny, sześć płatków i sześć pręcików, układ ich jest szczególny, tworzą dużą kulę okrągłą.

Ale nie koniec na tém; nie każdemu wiadomo, że w towarzystwie tych drobnych cebulkowych roślin, w tej samej rodzinie liliowatych, mieszczą się także i okazałe drzewiaste krzewy, a nawet i ogromne drzewa. W naszym zimniejszym klimacie tracą one jednak tę postać wspaniałą, karłowacieją. Kto widział w cieplarni tylko szpilecznicę, *Yucca gloriosa*, ten z trudnością uwierzy, że krzew ten niepozorny przybiera w Ameryce środkowej postać potężnego drzewa. Pień rozgałęzia się w liczne odnogi, a czasem się tylko rozdwiają widłowato; liście skupione, wązkie i wydłużone, twarde, szorstkie, nadały szpilecznicy w Meksyku nazwę charakterystyczną drzewa bagnetowego; kwiaty

blado żółtawe, dzwoneczkowate, tworzą wiechę piramidalną. Yukka najokazaliej wyrasta na stepach amerykańskich *Prairie*, na twardym kamienistym gruncie. Dziwaczne te drzewa stoją tam samotnie, lub w gromadkach nielicznych wśród skał, sterzących dokoła, a z tém liściem swém sztywném wyglądają same jakby skamieniałe.

Tych samych rozmiarów ogromnych dorasta w ojczyźnie swój, Afryce południowej, aloes, w cieplarniach naszych hodowany. Liście jego są grube, mięsiste, zwykle ostrém cierniem najeżone przy brzegach, kwiaty ma niekiedy bardzo piękne, szkarłatne, różowe, żółte. Gaje aloesowe na Przyładku Dobrzej Nadziei przepysznie mają wyglądać, podróżnicy zachwycają się niemi.

Osobliwszą jeszcze jest roślina nowozelandzka, którą możnaby nazwać trawą drzewną, bo rzeczywiście wygląda jakby olbrzymia trawa. Nazwa jej naukowa jest *Xanthorhea*, nasz botanik Waga nazywa ją gromokłośnikiem. Wyobraźcie sobie wysmukłą, drzewiastą lodygę, z wierzchołka jej zwieszają się dokoła gęsto skupione liście, długie, szczupłe, jak trawa, z pośród nich strzela do góry okazały kłos.

Na tychże wyspach Nowozelandzkich znajduje się roślina bardzo użyteczna, także do rodziny liliowatych zaliczana. Nazywają ją lnem nowozelandzkim, nie jest jednak wcale do lnu podobna. Właściwa jej nazwa jest tęgosz włóknodajny, *Phormium tenax*. Liście téj rośliny, zupełnie podobne do liści naszych kosaćców, tylko znacznie większe, zawierają włókna niezmiernie mocne i trwałe. Krajowcy wyrabiają z nich tkaniny, sieci i sznury. Teraz już i europejscy osadnicy uprawiają len nowozelandzki, z którego przemysł może z czasem znakomite korzyści osiągnąć, bo utrzymują, że tkaniny, wyrabiane z tych włókien, mocą przewyższają wszystkie inne, a przytém mają miękkość i połysk jedwabiu.

(D. n.).

## Wiosna.

Zniknęły lody,  
Z nich uwolniony,  
Toczy swe wody  
Strumień spieniony

Pastuszek trzodzie  
Piosnki przygrywa,  
A ta w swobodzie,  
Buja szczęśliwa.

Liściem zieloném  
Szumią dąbrowy,  
E hem zbudzoném  
Drgają parowy.

Rybak swe sieci  
Zapuszcza w wody,  
I pszczołka leci  
Po nowe miody.

Małe ptaszyny  
W niebo się wznoszą,  
Kwiaty, doliny,  
Wonie roznoszą.  
Kukułka kuka  
W cienistym krzewie,  
I dzięcioł puka  
W spróchniałém drzewie.

Bocian klekoce  
Na starym-dębie,  
Grają ochocze  
Płochę gołębie.

Jaskółka wije  
Gniazdo co żywo,  
Słowik się kryje  
Z piosenką tkliwą.

Turkawki w lesie  
Wabią się wzajem,  
Chłopak chróst niesie  
Starym zwyczajem.

Ogródek grodzi,  
By nie miał szkody,  
Kiedy obrodzi  
Warzywne płody.

I z mroźnych szronów  
Oczyszcza drzewa,  
Bo hojnych plonów  
Z nich się spodziewa.

Ach! i wy, dziatki,  
Uciech niesyte,  
Jak polne kwiatki  
Świeżo rozwite;

Użyjcie wiosny,  
Póki wiek sprzyja,  
Wesół, radosny,  
Bo ten przemija.

A smutna zima  
Śpiesznie podąży,  
Nic jej nie wstrzyma,  
I w śnie pogąrzy.

Ignacy Stopczanski.

## CZUKCZE.

W roku zeszłym opowiadaliśmy już czytelnikom „Wieczorów” o znakomitym podróżniku Nordenskjöldzie, który z wielkiem zamiłowaniem zapuszczał się pokilkakrotnie w odległe strefy podbiegunowe i odkrył nową drogę morską, z Europy do Azji. 20 Maja roku bieżącego miał znowu wyruszyć w podróż na daleką północ.

Rysunek nasz przedstawia Czukców, widzianych przez Nordenskjölda podczas jego podróży. Jest to plemię dosyć podobne do Eskimosów, zamieszkujące na samym krańcu północno-wschodniej Azji. Czukcze dzielą się na pasterskich (Rea Czukcze) hodujących renifery, i rybackich, (Namollo). Ci ostatni przedstawieni są na naszej rycinie. Gdy gęsta mgła i nagromadzenie lodów zmusiło podróżników do zatrzymania się przy wybrzeżu, Czukcze, dowiedziawszy się o tém, przybyli na łodziach i zaprosili ich do siebie. Mieszkają oni w namiotach ze skór reniferowych, oświetlonych lampami tranowemi. Nordenskjöld tak opisuje pobyt swój u Czukców:

Byliśmy bardzo gościnnie przyjęci, Czukcze ofiarowali nam wszystko, co posiadali. W jednym namiocie ugotowano mięso renifera w żelaznym garnku, w drugim oporzędzono świeżo zabite renifery, w trzecim kobieta zajęta była wydobywaniem z wnętrzości renifera zielonej zawartości, podobnej do szpinaku i napychała ją w worek

z psa morskiego (foki) aby ją zachować jako jarzynę na zapas zimowy. Podobnej jarzyny używają także Eskimosi. Czukcze zbierają liście, pączki i korzenie niektórych roślin, które im się żywią. Wory z psów morskich, nieprzepuszczające ani wody, ani powietrza, służą im do przechowywania tranu i różnych zapasów. Wory te składają się z całej skóry, wyjąwszy głowę, odcieętą przy samej szyi. W worku takim, używanym do przechowywania płynów, przewiązują się mocno wszystkie otwory w skórze, a rurka drewniana lub kościana, zastępująca kranik, umieszczona bywa w otworze przedniej nogi. Przed jedynym z namiotów leżały dwie świeże głowy konia morskiego (foki) z dużemi, wspaniałemi kłami. Dzieci tam było mnóstwo, łagodnie są traktowane i wyglądają zdrowo. Rodzice noszą je często na plecach, opakowane w skóry, w namiocie zaś chodzą zupełnie nago i można je widzieć biegające boso po śniegu.

## RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dokończenie).

Kupiec zaraz zaprosił swego przyjaciela malarza do swego mieszkania na górę, a Olesiuwi dał urlop na cały dzień. Na górze bawiono bardzo krótko, bo malarz przyjechał po sprawunki, pendzle, farby i. t. p. i śpieszył z powrotem. Przyjechał z rzadką dóbr, gdzie pracował w owym pałacu i konie miały na nich czekać z powrotem na stacyi. Mimo krótkiej z Olesiem na górze rozmowy, dowiedział się jednak ojciec odrazu prawie o wszystkich grzechach jego przeszłorocznych, a przechodząc z nim przez ulicę dowiedział się i reszty. Potem Kazio, wybiegłszy ze swęj stancyi i idąc z ojcem i bratem do restauracyi na obiad, znów przed ojcem wygadał wszystko, co miał na duszy, aż do ostatniego, najstraszniejszego ciężaru, do straconego roku szkolnego. Później, załatwiając sprawunki po drodze, poszli wszyscy trzej do sklepu, do Kasi, która nie mogąc żadnym sposobem odejść, bo właścicielki w sklepie nie było, zaledwie uściskawszy ojca wyrecytowała mu wszystkie swoje szaleństwa, jak nazywała długi regestr zbytkownych strojów i wycieczki zamiejskie. I znowu kupując po drodze przeróżne rzeczy, zaszli wszyscy trzej na chwilę do Aneczki, bo to nie była niedziela, i Aneczka miała obowiązki. Mimo to, przez tę jedną chwilę zdążyła Aneczka wyznać

straszne swe przemieszanie obowiązkom, nałożonym na nią przez matkę. Każde z czworga dzieci przez blisko półtora roku drżało na myśl, że ojciec może się kiedyś ich błędów dowiedzieć, i każde, zaledwo ujrzawszy tego ojca, śpieszyło z wyznaniem.

Biedny malarz za każdym wyznaniem za głowę się chwytał z przerażenia, a potem musiał jeszcze ścisnąć i uspakajać rozżalone dziecko. Nareszcie, zrozumiawszy na czem się ich niebezpieczeństwa i przypadki na morzu życia skończyły, rozśmiał się serdecznie i dzieciom się zdawało, że słońce po raz pierwszy od blisko dwóch lat świeci bardzo jasno... Szkoda, że matka z najmłodszym, trochę słabym dzieckiem, została na wsi, bo słońce byłoby z pewnością jeszcze jaśniej świeciło.

Co do matki, ta przynajmniej była na wsi tak zdrową, jak nigdy i dla tego po części malarz nie miał ochoty wsi opuszczać, bo wąta i chorowita żona zupełnie na świeżem powietrzu inaczej wyglądała. Nie pracując sam, kierował on przecież robotą w pałacu, i pozostawiał dla siebie jęj część artystyczną. Kolejowe gmachy wykończyły się dopiero, i była wszelka nadzieja, że choroba niewielką malarzowi wyrządzi krzywdę, zwłaszcza przy ogólnej przychylności, jaką sobie zjednać potrafił. Krótkie, po większej części posępne dni zimowe, nie były właściwe do wykonywania artystycznych owych prac, które sam miał wykonać, dla tego też i przysłał ojciec tak łatwo na żądanie dzieci, które mu próżnować kazały.

Nazajutrz odjechał malarz na wieś z powrotem. Ale w jakiś czas był znów w inieście i to w smutnym interesie, poradzić się doktorów. Pomimo ostrożności, stało się to, o czem uczony Kazio gdzieś czytał czy słyszał; ręka, jakkolwiek zupełnie zdrowa na pozór, zabolala zaraz po pierwszym dniu pracy, przy malowaniu sufitu. Po ściśłem zbadaniu, lekarze pokręcili głowami, zakazali wszelkiej pracy, wzięli rękę na temblak, przepisali to i owo, i wiejskie powietrze, zadecydowawszy ostatecznie, że jeżeli nie będzie pracował, to rękę ocali, inaczej wypadnie może ją odciąć. Oleś był z ojcem u doktorów, więc smutna wiadomość nie dała się ukryć przed resztą dzieci, bo Kazio Oleś ją powiedział, a siostryz ich zmartwienia domyśliły się wszystkiego.

Dzieci błagały ojca na wszystko, aby już na całe życie pracy się wyrzekł, byle tylko przyszedł do zdrowia. Stało na tém, że malarz wrócił na wieś, gdzie życie było tańsze, utrzymywał się ciągle z pracy dzieci, bywał u nich często, i czuł się coraz lepiej. Nakoniec ręka przestała zupełnie boleć, i niebezpieczeństwo minęło. Ale nie w oczach dzieci, które będąc pewne, że drugie na-

rażenie ręki byłoby śmiertelne dla ojca, ukłękły naokoło niego wraz z matką, przybyłą ich zobaczyć, i łzami wymogły, żeby tak, jak już raz przyrzekł, zaprzestał pracy zupełnie. Prosiły pomy, aż wyprosiły.

Malarz z żoną i najmłodszym dzieckiem zamieszkał stanowczo na wsi, bardzo blisko drogi kolei, co mu często pozwalało bywać u dzieci. Zachowawszy terażniejsze dochody trojga najstarszych, sam wyznaczył sobie z nich część, wystarczającą na życie wiejskie, i więcej brać nie chciał. Więc młodzież pracując szczerze, nie cierpiała wcale niedostatku. Owszem przyszło do tego, że Kazio na prośby rodzeństwa zamieszkał znów starą Izbę Radną, wyrzekłszy się dziesięciu rubli za jej wynajmowanie, bo gorączka chciwości, ta choroba dzisiejszego wieku, raz dawszy się im we znaki, opuściła ich na całe życie, jak jaka odra lub ząbkowanie, które przebyli szczęśliwie.

Więc znów co niedziela po południu schodziło się czworo rodzeństwa na pogadanki „u siebie”. Często rodzice z najmłodszą córeczką zjawiali się tam także niespodzianie. A wtedy zdawało się im wszystkim, że wczoraj najstarsze z dzieci miało lat trzynaście, że wczoraj sławny obraz ojcowski, dla braku ram był zmarnowany, i że wczoraj zdecydowano wyjść z biedy i nabyć domek w zieleni. Nasamprzód na takich posiedzeniach rozbie-rano zazwyczaj wszelkie wspólne zamiary i zamy-sły, potem gawędzono, wyśmiewając się często z choroby wieku, i dziwiąc, że teraz, gdy wszyscy żyli spokojnie, bez palącej gorączki zysku, właśnie teraz zaczynało im się dzać coraz lepiej. I tak, najprzód Kazio, przeszedłszy raz straszną katastrofę z owym rokiem zmarnowanym, przestał starszym zazdrościć, że dla rodziców pracują. Przysłał też posłusznie na projekt Aneczki, co do zamieszkania w Izbie Radnej, bo już go to nie upokarzało, że nie zarabia i pragnął tylko jak najprędzej szkoły z pomocą rodzeństwa ukończyć. Poddał się tedy rozporządzeniom starszych i własnym wrodzonym skłonnościom. A że te skłonności ciągnęły go do książki, więc się okazało, iż jest zdolnym bardzo, wzorowym, pilnym uczniem, i za małym staraniem będzie od opłat wpisu uwolnionym. I tak się stało. Że zaś był starszym i bardzo lubianym, więc za rekomendacją nauczycieli, jacy rodzice umieścili w Izbie Radnej pod jego opieką, jako wzorowego ucznia, dwóch młodszych uczniów, co nie wiele zabierając mu czasu, dawało przecież większe zyski, niż owo niedyś nadmierne chwywanie korepetycyj.

Oleś był pierwszym subjektem u swego kupca w dużym, zamożnym sklepie, do którego zaglą-dając właściciel, tylko po ramieniu Olesia klepał,

mówiąc, że wszystko jest *ganz gut* i trzymając się za boki od śmiechu, gdy przypadkiem zasłyszał kazania żarliwe, jakie pan subjekt prawil nieraz swoim młodym podwładnym o niebezpieczeństwie złego towarzystwa. I Kasia teraz już stale zostawała u tej samej kupcowej, i także wyszła na jej zastępczynię i prawą ręką. Co nie jest wcale rzeczą dziwną, bo dzieci malarza były starannie wychowane, choć nie bardzo uczone, więc kto bliżej je poznał, ten musiał je cenić i dla tego cieszyli się takiem zaufaniem swoich zwierzchników. Kasia miała z czasem wejść nawet ze swoją kupcową do wspólnki, bo kupcowa ta nie miała ani córki, ani bliższej krewniej, tylko synów, których z zarobku swego wychowywała, więc koniecznie potrzebowała na wspólniczkę uczciwej, zaufanej panienki, która-by sklepu pilnowała jak własnego.

Aneczka, ucząc swoje wychowanki od początków, uczyła się też i sama, biorąc nawet i lekcye, gdy inaczéj rady sobie dać nie mogła; co widząc rodzice tych dzieci, ani myśleli szukać innej nauczycielki, chociaż ją wzięli tylko za bonę; bo wykształcenie Aneczki wzrastało z każdym dniem, wyprzedzając jeszcze potrzeby wzrastających także uczennic. W takim składzie rzeczy mijały lata, swobodnie, zgodnie, ale co prawda w pracy od rana do nocy, bez żadnych wakacyj nawet. Starsi wcale ich nie mieli i mieć nie mogli, a Kazio na każde wakacje musiał jeździć na wieś ze swymi uczniami do ich rodziców, tam ich mimo wakacyj uczyć i pilnować, i na powrót z nimi do szkół wracać; więc byli wszyscy tak zajęci, że nawet ani razu żadne z nich nie mogło rodziców odwiedzić, widując ich tylko u siebie w staréj Izbie Radnej.

I tak lata płynęły, aż ich upłynęło od początku tej powieści dziewięć. Kazio skończył szkoły naj-lепiej, jak je skończyć można. A jeszcze zanim je skończył, już miał przyrzeczoną posadę pomocnika bibliotekarza przy dużej bibliotece. Oczywiście z nadzieją zostania z czasem głównym bibliotekarzem. Nasz Lelewel nigdy o większym szczęściu nie marzył. I marzenia te spełniły się zaraz po ukończeniu szkół, bo i właściciel biblioteki i główny bibliotekarz znali dobrze wielkie zamiłowanie młodzieńca do starych zapleśniałych druków, a tego im właśnie było potrzeba. I jemu też tylko tego było potrzeba, żeby mógł w ciszy i spokoju w tych starożytnościach się rozpatrywać. Więc taka skromna, ale pewna, a nadewszystko zadawalniająca go instalacja, była dniem tak radosnym dla całej rodziny, że sam ojciec zaproponował obchodzić go uroczystie, i to w jego wiejskiem schronieniu, gdzie prawie całe siedm lat przeżył. Na taką uroczystość raz w ośm lat mogli przecież pryncypałowie swoich pracowników pozwalniać.

I pozwalniali najchętniej po południu w sobotę, w śliczny dzień letni, z urlopem do poniedziałku, do południa. Komiczną stroną uroczystości było to, że jój bohaterem był najmłodszy, najpotulniejszy zwłaszcza od czasu katastrofy z promocją, najbardziej rozpaczający zawsze nad niepożytecznością swoją Kazio, który właśnie teraz najpierwszy z rodzeństwa stawał się „człowiekiem skończonym” wedle wesołych żartów siostr i brata. Szczęśliwe rodzeństwo, z jedenastoletnią Kocią na czele, wyszło z Izby Radnej po obiedzie, sporządzonym „entre-deux-entrechats”, i wsiałszy na małą, zgrabną bryczkę o jednym, ale dobrym i ładnym koniku, pojechało do kolei. Bryczka był własnością jakiegoś przyjaciela malarza, mieszkającego w mieście, blisko dworca kolei, a który jój malarzowi pożyczył; w tę sobotę o południu przyjechała nią Kocia, stangret poszedł sobie za jakimiś sprawunkami, a Oleś, siadłszy na koziołek, powiózł żwawo całą gromadkę. Kocia miała wskazać komu i gdzie oddać bryczkę i konika.

Gdy przyjechano do dworca, mała Kocia, zakrawająca z obejścia trochę na chłopaka, zerwała się z przedniego siedzenia koło Kazia, gdzie najprzycioć siedziała w czasie jazdy przez miasto, i wdrapała się na kozieł do Olesia, wołając:

— Teraz ja prowadzę! — i kazała Olesiovi jechać prosto, szeroką wysadzoną drzewami drogą.

— Kocia! nie włącz na kozieł! co ty robisz! przed dworcem kolei ludzie patrzą! panna na kozle! zejdź mi zaraz! — z cicha ale rozpaczliwie wołała Kasia.

— Dziecko! co ty robisz! spadniesz! daj mi tu rękę i schodź zaraz ostrożnie! ostrożnie — wołała na swój sposób Aneczka, chwytając małą siostrę. — Ale Kocia siedziała już na kozle, jak na krześle; na Kasi napomnienia wcale nie zwróciła uwagi; Aneczkę zapewniła, że zawsze tak jeździ, bo tak lubi; i wyciągnąwszy z głębin bryczki własny, jak objaśniła, bat olbrzymi, palnęła z niego jak najwprawniejszy woźnica i konik, jakby jój posłuszny, poszedł, gdzie jechać kazała. Ale Oleś zatrzymał go w miejscu, i czworo starszych zaczęło wypytywać Kocię-chłopaka, czy ma zamiar wyrzucić bryczkę i wszystkich ich wysypać przed dworcem, ku uciesze licznie zgromadzonej publiczności? Czy chce nareszcie swawolą doprowadzić brata Olesia do takiej ostateczności, że on zwiąże jój wiecznie niespokojne ręce i nogi, odbierze bat, dłuższy od niej, i wsadziwszy ją do kieszeni paltota, pójdzie sam pytać ludzi, gdzie mieszka właściciel bryczki, aby załatwić się z tém coprędzej i kupić bilety na kolej?

Tak uroczyście zapytana, i widząc, że siostry

myślą wysiadać, Kocia spoważniała nagle i z wielką uroczystością, wyciągnąwszy z kieszeni list zapieczętowany, podała go Aneczce.

List był od ojca, który nim w urzędowy sposób przelewał najwyższą władzę swoją w czasie całej podróży dnia tego, na... Kocię. Kocia musiała mieć niesłychanie skromne wyobrażenie o swém własném znaczeniu u rodzeństwa, kiedy się aż zaopatrzyła w taki cyrograf, a raczej rozkaz tajny.

Rozśmiano się i pojechano, gdzie Kocia kazała, zrozumiałwszy w tém rozporządzeniu jakiś żart ojca, który ku wielkiej swych dzieci uciesze, wcale dawnego humoru nie tracił.

Nie długo jechano wysadzaną drogą szeroką, wśród drzew zieleni, pięknych willi i pysznych powozów z wystrojonemi paniami, i pysznych wierzchowców z wykwintnymi jeźdźcami. Młode rodzeństwo gubiło się w przypuszczeniach i domysłach, co do znaczenia żartu ojcowskiego, który ich na tę podróż pod wodzą Koci naraził. Za każdym nowym pomysłem Kocia parskała śmiechem, jak mała kotka; potem zaciskała mocno usta, żeby powierzonej sobie tajemnicy nie wydać.

— Ojciec umyślnie każe nam końmi, to jest koniem, gdzieś jechać, żebyśmy przybyli na wieczór, bo chce beczkami smolnemi uiluminować przystęp do zaczarowanego pałacu, na przyjęcie najmłodszego syna, który pierwszy został człowiekiem.

— Dwanaście młodych, biało ubranych panien wyjdzie na powitanie Kazia.

— A Kazio ani spojrz, bo on tylko na starożytności patrzy.

— Kaziu, budzę cię! w kolorze zbutwiałego pergaminu: o czém tak myślisz?

— Myślę, kto jest w téj chwili szczęśliwszy? te bogate panie na tych balkonach, w tych pojazdach i ci panowie na pięknych wierzchowcach, czy my?

— Chyba my, naturalnie; bo pewno żadna z tych pań, ani żaden z tych panów świeżo bibliotekarzem nie został.

— Ech przeciesz; wiesz ty dobrze, że ja nie o tém myślę.

— Wiem, wiem, że myśli twoje głębokie, jak najgłębsza studnia.

— Studnia! patrzcie, studzienka z żórawiem tu pod samém miastem, niedaleko od tych pięknych willi!

— A koło niej dworek z facyatą, z balkonem, z gankiem, cały obrosły zielenią, i zabudowania maleńkie, i ogród. Jakież to śliczne, jak obrazek!

— Stój, kasztan! czekaj, aż wysiądziem, dopiero sobie do stajni pójdziem!

— A on tu staje? po co mu każesz stawać, Kociu?

— Mama! ojciec i mama na ganku!

— Ojczulku! mamusi! to tu obchodzić będziemy uroczystość?

— A gdzie ją obchodzić mamy, jeżeli nie u siebie, tu, w naszym zielonym domku. Pójdźcie i rozgoście się, bo teraz już na wszystkie niedziele, święta i wakacje, przyjeżdżać tu do starych rodziców będziecie.

— Co ojciec mówi? Czy ojciec żartuje?

— Po co mam żartować, kiedy wy pracowa-  
liście nie żartując przez lat dziewięć, a moja ręka zdrowa pozwalała mi i pozwala zarabiać na siebie, chociaż malować na ścianach i sufitach już naprawdę nie mogę. No patrzcież: oto na górze cztery pokoiki maleńkie, urządzone umyślnie dla każdego, z ładną toaletą dla Kasi, z szafami na książki dla Kazia, ze strzelbą i wyżem dla Olesia, z biurczkiem i książkami pedagogicznymi dla Aneczki. A tu na dole wspólny salon, niby nowa Izba Radna, dwa pokoje dla mnie i dla matki z Kocią i kuchnia. A tam ogródek, z którego matka sprzedaje do miasta bukiety i warzywo, a tu kurniki, z których matka także coś tam do miasta wozi.

— I to do ojca należy naprawdę, ta śliczna posiadłość? A więc ojciec chyba narażając życie wziął się znowu do roboty na kolei i na niej kilkanaście tysięcy zarobił?

— Nie, moi drodzy, nie kłamałem nigdy. Ta robota przepadła. Ale malowanie pałacu już wprzód skończyłem, i żyłem z zapłaty za nią, a potem z restauracji starych obrazów i z lekcji, z malowania ławek, stołów i nawet z malowania pokojów, choć sam ich nie maluję, tylko moich pracowników pilnuję i po to codzień jeżdżę do miasta. A waszego uskładanego kapitaliku u kupca nie ruszyłem, choć był czas, że naprawdę już go ruszyć myślałem. Ale ręka ozdrowiała, a wam tak doskonale na moralne wasze zdrowie przydała się moja choroba, że ani myślałem wyprowadzać was z tego mniemania, które was na prostą drogę naprowadziło. Wszystko, coście mi przysyłali, składałem, dokładałem, co się dało i macie domek w zieleni, spełnione dziecinne marzenie wasze.

— Ależ, ojczu, to chyba ojciec do tego bardzo wiele dokładał, bo myśmy wszyscy oprócz Aneczki zmarnowali przecież cały rok.

— A ja tak, jakbym nigdy nic nie zarabiał, bo ledwo żem się sam utrzymywał w szkołach — rzekł Kazio.

— A i wszystko reszta, co to za zarobek, czy to znaczyć mogło!

— Ech, ojczu, ojczu, chyba z nas żartujesz!

Tak rozmawiano i targowano się, i oglądano przytęm proste sprzęty, obchodząc za ojcem cały ów domek mały, skromny, ale własny, przy wielkiej drodze, a więc w taniem miejscu, lecz niedaleko od miasta zbudowany.

— To pójdźcie do mego pokoju i przejrzyjcie rachunki, a zobaczycie, co znaczy dziewięć lat pracy wytrwałej — rzekł ojciec. Tak też uczynili i przekonali się, że istotnie zapracowali ten domek w zieleni i odegнали nędzę na zawsze. Naraz z krzykiem rzucili się ścisnąć ojca i matkę, a potem zaczęli po kolei wszyscy się ścisnąć z radości; Oleś wyskakując z uciechy, jakby miał znów lat dwanaście, zaczął strzelać z nową strzelbą na wiwat, Kasia zaczęła mocno żałować, że się w białą suknię na ten dzień nie wystroiła, Kazio pobiegł obejrzeć bibliotekę, Aneczka rozplakała się, ściskając ojca, a Kocia z żywością przechwalała się, że ona wiedziała o wszystkim, a umiała jednak zachować tajemnicę. Aż matka położyła koniec tym uniesieniom, wołając wszystkich na podwieczorek, zastawiony w dużej sali, przy otwartych szeroko oknach, w precudne letnie popołudnie, we własnym domku w zieleni.

A gdy zbiegłszy się wszyscy do stołu, obficie, choć poprostu zastawionego, znów matkę i ojca ściskać zaczęli, dziękując, już nie za wymarzony domek, ale za to, że ich pracować nauczyli, wtedy rzekł ojciec:

— Toby niedość było, moi drodzy, mnie się zdaje, żeście wy się jeszcze czegoś więcej przy tej sposobności nauczyli.

— Oprócz zamiłowania pracy? a prawda, nauczyliśmy się jeszcze prawdziwej wartości pieniędzy.

— I jeszcze czegoś...

— A czegożby? Ach, wytrwałości, prawda?

— Prawda; ale i to jeszcze nie wszystko, jest jeszcze jedna ważna, bodaj czy nie ważniejsza korzyść, jaką powinniście z waszych dziewięcioletnich przygód odnieść...

— Jaka? Jaka?

— Przekonanie o bezużyteczności wszelkich gwałtownych wysiłków i porywów, które wyczerpują fizyczne i moralne siły, i muszą koniecznie przez naturalną reakcją prowadzić człowieka do tak gwałtownego upadku, jak wysokimi były jego gwałtowne porywy.

— Ach, ten rok! kiedy to ja na Saską Kępę wybierałam się wystrojona...

— Ojciec o tym roku myśli... kiedym się Antkowi dawał durzyć...

— O tym roku... w którym ja promocyi nie dostałem...



— Tak; myślę o tym roku, który straconym nazywacie, a który przecież wcale straconym nie będzie, jeżeli z niego tę wyciągniecie naukę, że: Jeżeli wytrwała praca może budować, to gwałtowne porywy tylko niszczyć mogą.

## GAWĘDKA

O KAZIMIERZU BRODZIŃSKIM.

— Józiu! Józiu! patrz, co to chrabąszczów na tém drzewku! wszystkie listki na niém zjedzą.

— Oj uciekaj, Helenko, bo i ciebie zjedzą!—i to mówiąc, Józio potrząsał mocno drzewkiem, a drze-  
miący owad spadł jak gruszki na ziemię.

— Wcale ich się nie boję—odrzekła Helenka,



Grota Łokietka w Zofiówce.

## GROTA ŁOKIETKA W ZOFIÓWCE.

Piękny ogród pod Humaniami, Zofiówką zwany, był już dawniej opisany w Pisemku naszym. Najpiękniejszą jego ozdobą są sztucznie nagromadzone skały i wykute w nich groty podziemne. Jedna taka grota, na rycinie naszej przedstawiona, poświęcona jest pamięci Łokietka.

uciekając jednak z pod drzewa i wolając: — fru! fru! fru!

Józio tymczasem wzięwszy chrabąszcza, położył go na dłoni, a głaskając mówił:

Mój ty rycerzu

Wąsaty,

W pancerzu!

Na drzewie siadasz

I kwiaty

Objadasz!

— Oho! patrzcie państwo! jak ten Józio zma-  
drzał, nawet do chrabąszcza mówi wierszami!

-- Tak, tak, moja panno siostrze, u nas to tak!  
przecież mam już lat piętnaście i promocyą do  
szóstej klasy — i to mówiąc udawał, że pokręca  
wąsa.

— Powtórz jeszcze raz o tym chrabąszczu —  
prosiła Helenka — to takie zabawne!

Józio przybrał oratorską minę, a oparłszy się  
o drzewo, gdzie tysiące chrabąszczów szemrało,  
mówił dalej:

„Szumisz w pomroku,  
Po niwie,  
Po rosie;  
Trącasz złośliwie  
Po oku,  
Po nosie.  
Niech zejdzie rano,  
Stul wąsy  
I loty.  
Z słońcem ustana  
Twe płasy  
I psoty“.

— Jakie to zabawne! jakie to zabawne! — wo-  
łała Helenka — czyś ty sam te wiersze ułożył?

— O nie, to mię nauczył mój przyjaciel Ka-  
zimierz Brodziński.

— Nie mówiłeś mi jeszcze nigdy o nim; czy  
on w jednej z toba klasie?

— A tak, tak, czasem bywa ze mną w klasie.

— A czy zdał egzamin do wyższej klasy?

— Oho! i nie jeden!

— To on bardzo mądry, ten Kazimierz Bro-  
dziński!

— Ha, ha! ale jaki!

— A gdzie on mieszka? czy pojechał do ro-  
dziców na wakacje? — pytała ciekawie Helenka,  
która wszystkich prawie kolegów brata znała  
z opowiadania.

— Kazimierz Brodziński — rzekł z pewnym  
namysłem Józio — och, on dawno na wakacjach  
w Dreźnie, na cmentarzu Fridrichstadt.

— Jaki? to on już nie żyje?

— Tak, tak Helenko, nie żyje, i to już od da-  
wna. Kazimierz Brodziński był to poeta i umarł  
jeszcze 1835 roku.

— Ach, jakiś ty Józiu niedobry! zawsze sobie  
ze mnie żartujesz, ja myślałam, że mi naprawdę  
opowiadasz o swoim przyjacielu.

— Ja wcale nie żartuję, nazywając Brodziń-  
skiego swoim przyjacielu, bo bardzo lubię czy-  
tać to, co on napisał, uczyć się jego wierszy, a więc  
lubię z nim rozmawiać tak, jak z przyjacielu,

i z pewnością, gdybyś znała jakie wiersze Bro-  
dzińskiego, to i tybyś go także polubiła.

— O, ja tak bardzo lubię wierszyki!

— Ciesz się to mocno, ale teraz chodźmy,  
Helenko, na spacer.

— Z ochotą pójde z toba — rzekła dziewczynka,  
biorąc za rękę brata — ale powiedz mi jeszcze  
jakie wiersze Brodzińskiego; czy to on wszystkie  
pisał takie zabawne, jak o tym chrabąszczu?

— O nie, Brodziński napisał kilka drobnych  
wierszyków takich, jak te, co ci mówiłem, ale  
oprócz tego pisał jeszcze bardzo wiele pięknych  
rzeczy; jak będziesz starsza, będziesz się więcej  
uczyła, to dowiesz się, kto to był Brodziński i prze-  
czytasz to, co on napisał.

— Starsza, starsza, to jeszcze tak długo cze-  
kać; jabym już teraz wolała coś o nim usłyszeć.  
Czy ty nic więcej nie wiesz o Brodzińskim?

— Owszem, wiem jeszcze bardzo dużo rzeczy  
— rzekł Józio z pewną powagą — ale nie wiem, czy  
ty to zrozumiesz.

— O, mój kochany, przecież nie jestem już  
takiem dzieciakiem, mam już rok jedenasty,  
a wiesz, że z ochotą zawsze słucham wszystkiego,  
co mi opowiadasz i bardzo lubię czytać. Wczoraj  
czytałam jakieś wiersze, które mi się bardzo po-  
dobały, zapamiętałam nawet kilka wierszyków,  
posłuchaj:

O miła matko! tyści moje wiano;  
Choćby mi góry złociste dawano,  
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,  
Jedwabne szaty chowała w komorze,  
Tobym bez ciebie przepłakała życie.

— Prawda, Józiu, że to bardzo ładne? to ja-  
kaś Halina tak mówi do matki.

— Tak, to bardzo piękne, ale czy wiesz, He-  
lenko, kto ten wiersz napisał?

— Nie, nie wiem, ale mi się bardzo podoba.

— Otóż właśnie wiersz ten napisał Kazimierz  
Brodziński, jest to wyjątek z sielanki, pod tytu-  
łem „Wiesław“.

— Mój Józiu, co to znaczy sielanka?

— Sielanka jest to opowiadanie jakiegoś zda-  
rzenia, które się stało pomiędzy ludem wiejskim,  
i takie właśnie Brodziński opisuje w Wiesławie.

— Kiedy ja nie wiem, co on opisuje, bo nigdy  
nie czytałam Wiesława. Powiedz mi, o kim tam  
Brodziński opowiada?

— Otóż widzisz, w Wiesławie Brodziński opi-  
suje dzieje dwojga wiejskich dzieci, uprowadzo-  
nych przez Tatarów. W drodze chłopczyk, imie-  
niem Wiesław, zdołał im uciec, przybłąkał się  
do jednej wioski i był wychowany przez Stani-  
sława i Bronisławę, poczciwych wieśniaków, któ-

rzym podczas wojny Tatarzy zabrali małą córeczkę. De innéj wsi przyszła znów uciekająca przed Tatarami dziewczynka, którą przytuliła i wychowała biedna wyrobnica, opłakująca syna zaginionego podczas napadu Tatarów. Dziewczynka ta, imieniem Halina, bardzo pokochała przybraną matkę i ona to właśnie tak serdecznie przemawia temi wyrazami, które ci się tak podobały.

— A czy Halina dowiedziała się kiedy, że to nie była jéj matka?

— Dowiedziała się, bo kiedy stary Jan przyszedł ze swatami do Wiesława, przybrana matka opowiedziała mu, że Halina nie jest jéj córką, tylko przybłąkaną jakąś dziewczynką. Janowi przyszło na myśl, że ta Halina może być córką jego sąsiadów, którą przed dwunastu laty uprowadzili Tatarzy. Nic nie mówiąc dla czego, zabrał z sobą Halinę i jéj przybraną matkę, a gdy dziewczyna zobaczyła zdaleka krzyż, pod którym się niegdyś modliła, starą gruszę przy drodze i rodzinną wioskę, pomimo ~~z~~ woli się rozpłakała, bo przypomniała sobie te miejsca, z których ją źli ludzie uprowadzili. Stanisław zaś i Bronisława, którzy wychowali chłopca, poznali w niej utracone dziecko, a przybrana matka Haliny poznała w Wiesławie zaginionego syna. Obiedwie rodziny uradowane, że odzyskały utracone dzieci, dziękowały Bogu, że im dozwolił choć na stare lata cieszyć się ich szczęściem; bo odtąd wszyscy zamieszkali w jednéj wiosce, a Halina tak, jak przyrzekła, chociaż odzyskała swoją własną matkę, nie opuściła jednak przybranéj.

— Ach, jakże ja się cieszę, że Halina odnalazła prawdziwą matkę! ale powiedz mi, mój Józiu, czy to wszystko prawda?

— Ha, któż to wie, może i prawda.

— Ej, to musi być chyba prawda, bo zkądżeby Brodziński mógł nieprawdę tak ładnie opisać; to zawsze znać byłoby, że to bajka.

— Zapewne, że to nie bajka, bo chociażby takiego Wiesława i Haliny nigdy nie było, to Brodziński tak doskonale czuł, co cierpieli rodzice Haliny, gdy ją stracili, jak bolała matka Wiesława, gdy jéj syna uprowadzono, tak doskonale wyraził radość dzieci z odzyskania rodziców, że zdaje nam się, jak gdybyśmy na to wszystko patrzyli, i dla tego właśnie tak nam się ten Wiesław podoba.

— Ale, mój Józiu, zkąd on mógł takie rzeczy wymyślić?

— Bo widzisz, Helenko, Brodziński był poetą, a poeta stwarza sobie w umyśle rozmaite zdarzenia, przedstawia różne osoby, a tak je sobie doskonale przedstawia, tak wie, co każda z nich myśli, czuje, że zdaje się, jakbyśmy każdą z nich

widzieli, znali, bo on z każdą z nich śmieje się, płacze, idzie na wojnę...

Z. Morawska.

(D. n.).

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

VII.

Strzelec zbłąkany.

Gdy Arend dopędził zbłąkanego konia jucznego, zwierzę to znajdowało się już na skraju lasu, a spostrzegłszy pogoń, poskoczyło copędzój w las drogą wytłoczoną w gęstwinie przez dzikie zwierzęta. Arend popędził za niem. Ścieżka była tak wązka, że niepodobna było zabiedz koniowi drogi, ale Arend pędził za nim ciągle w nadziei, że się droga rozszerzy. Nadzieja ta zdawała się ziszczać, gdy koń wybiegł na otwarte miejsce, zarosłe małemi krzaczkami wrzosieni o białych kwiateczkach: *Erica vestita*.

Myśliwiec miał teraz dość przestrzeni, spiął przeto swego wierzchowca ostrogami, aby wyprzedzić uciekające zwierzę i nawrócić je, gdy koń przypomniawszy sobie zapewne poprzednie pracowite życie, a zakosztowawszy chwilowej swobody, uniósł się szalonym biegiem. Arend popędził za nim. W połowie równiny zbieg gwałtownie rzucił się w bok i pędził znów dalej w tym nowym kierunku. Arend wnet zrozumiał przyczynę tego zwrotu, spostrzegłszy ogromnego nosorożca, postępującego równiną tak, że przecinał poprzednią drogę konia. Ten ustąpił roztropnie z drogi nosorożcowi i wszystko byłoby nieźle poszło, gdyby myśliwiec okazał był także roztropność podobną.

Ale Arend van Wyk był namiętnym, zapalonym myśliwcem, a prócz tego był jeszcze oficerem regularnego wojska, a więc gdy nosorożec przechodził tuż koło niego, Arend nie miał siły oprzeć się pokusie: dał ognia. Następstwa były nieprzyjemne; nosorożec z głuchym rykiem zawrócił się i rzucił na napastnika. Arend musiał szukać ocalenia w ucieczce, a straszny zwierz pędził za nim, jakby go chciał przekonać, że mimo rany może się jeszcze zemścić.

W początku téj gonitwy przedział między gonionym i goniącym był bardzo mały, i otoż zamiast zboczyć natychmiast i pozwolić się prześcignąć potworowi, Arend pędził ciągle w prostéj linii, nabijając strzelbę. A jednak powinien był właśnie zboczyć, ze względu na znany zwyczaj, a raczej wadę, właściwą budowie oczu nosorożca.

Błąd ten Arenda nie pochodził ani z niewiadomości, ani z zapomnienia, ale prosto z zuchwałego jakiegoś niedbalstwa; był pewien, że go potwór nie doścignie, i ani pomyślał uchronić się od pogoni niemylnym i najprostszym obrotem. Liczne poprzednie powodzenia w myśliwskiej sztuce były przyczyną tego zuchwałstwa Arenda.

I otóż nagle przeciął mu drogę mur kolczastych akacyj, znanych w Afryce środkowej pod nazwą charakterystyczną: Poczekaj! (wait-a-bit) koń Arenda „poczekał” i nosorożec go dopadł! Teraz nie było już czasu skręcić w bok, nie było też miejsca po temu. Arend zdążył jednak przez ten czas nabić strzelbę, ale mała była nadzieja, aby zdołał jedną kulą powalić nosorożca, tём bardziej, że nerwowe drganie przerażonego konia czyniło strzał niepewnym; więc Arend śmiało zeskoczył z konia.

Miał on w tём cel podwójny: był pewniejszy strzału, i przypuszczał, że nosorożec w swęj zaciekłości na konia, zapomni o jeźdźcu. Przestrzeń, jaką nosorożec obejmuje wzrokiem, nie jest rozległa, ale na nieszczęście koń, uczuwszy się wolnym, pognął jak wiatr, odsłaniając tym sposobem Arenda, na którego teraz z kolei padł wzrok nosorożca.

Arend dał ognia i pędem skoczył do najbliższej gromadki drzew, jaką spostrzegł. Ale tuż za sobą słyszał ciężki bieg nosorożca, czuł prawie już oddech jego na plecach. Jedyńm teraz środkiem ocalenia był zwrot w bok, aby pozwolić zwierzęciu przebiez prosto koło strzelca, i tak też uczynił Arend, rzucając się w bok właśnie w chwili, gdy straszne zwierzę schylało głowę i nastawiło róg potężny, aby go przebić.

Korzyść, jaką w ten sposób Arend osiągnął, krótko przeciez trwała, bo zwierzę rzucił się w pogon w nowym kierunku z gwałtownością, dowodzącą w nim pełni sił, gdy siły młodzieńca opuszczały go wśród tych szalonych, nadludzkich wysilen, jakimi się dotąd bronił. Czuł, że zaledwo zdoła uniknąć natychmiastowego ciosu jednę jeszcze rzuceniem się w bok, gdy w tём spostrzegł tuż przed sobą olbrzymi baobab, obalony przez burzę i wsparty na zgruchotanych korzeniach i gałęziach w taki sposób, że pomiędzy pnem i ziemią był odstęp niewielki na dwie stopy wysokości. W mgnieniu oka Arend wśliznął się pod drzewo, w owę kryjóvkę, w chwili właśnie, gdy róg zwierzęcia prawie go już dotykał.

Młody myśliwiec odetchnął. Powziął nawet trochę nadziei. Drzewo olbrzymie osłaniało go dostatecznie, a w razie, gdyby zwierzę chciało uderzyć nań z przeciwnęj strony, potrzebował tylko przesliznąć się popod drzewem, aby cała grubość

pnia oddzieliła go od napastnika. Przejście, dostateczne dla niego, za ciasne było dla ogromnego cielska nosorożca. Co przewidział, to się stało. Straszny zwierzę, pędkiem zrozumiawszy położenie, obszedł drzewo dokoła i uderzył napróżno tam, gdzie przed chwilą myśliwiec się znajdował. Ten manewr powtarzał się raz po raz tak szybko, że Arend, przesuając się pod drzewem, prawie nie miał czasu myśli zebrać, spodziewał się przeciez, że ta gra w chowanego musi się skończyć, gdy zwierzę, albo sam od nięj odstąpi, albo poda sposobność ucieczki swemu więźniowi.

Ale nadzieja ta zawiodła go całkowicie. Zwierzę, rozwścieczone otrzymanemi ranami, zawzięło się straszliwie i z godzinę szalało około drzewa, usiłując dosięgnąć koniecznie nieprzyjaciela. Arend z łatwością unikł ciosów, ale trzeba było obmyśleć jakiegokolwiek możliwe wyjście z położenia, które mogło się zbytecznie przedłużyć. Oczywiście Arend przedewszystkiem pomyślał o nabiciu broni. Leżała ona tuż pod ręką, ale chcąc ją nabić, myśliwiec spostrzegł dopiero brak stępla; w chwili, gdy strzelbę po raz drugi nabijał, nosorożec rzucił się na młodzieńca tak nagle, że ten prawdopodobnie upuścić musiał stępel z ręki. Była to przykra bardzo okoliczność; Arend zmartwiony, przez czas jakiś bezmyślnie prawie przesuwał się pod drzewem, unikając ciosów nosorożca.

Nakoniec zwierzę się znużył, ale mimo to nie wyrzekł się zemsty. Przeciwnie, położywszy się tuż przy drzewie w taki swosób, aby obie jego strony widzieć, nosorożec widocznie postanowił nie odstępować swęj ofiary i czekać tylko sposobności, by na nią uderzyć. Oblężenie zamienione zostało w blokadę. Młody myśliwiec mógł swobodnie zastanawiać się i rozmyślać nad swęm położeniem, ale wydobyć się z niego nie było sposobu.

## VIII

### Wyzwolenie.

Słońce zaszło, księżyc wypłynął ponad wierzchołkami drzew wspaniałych, a nosorożec trwał nieruchomy na swęm stanowisku. Zaciekłość jego nie zmniejszała się od chwili, gdy go dosięgły kule które ją roznieciły. Długie godziny upływały. Młody myśliwy niecierpliwie oczekiwał, licząc na to, że głód i pragnienie zmuszą zwierzę do odwrotu. Ale i w tём się przerachował; bolesne rany, rozdrażniając potwornego zwierzę, tłumiły w nim właśnie ochotę do jądła, a rozniecały tylko pragnienie zemsty. Z okiem pałającym, utkwionęm w swego więźnia, nosorożec śledził baczenie każde jego poruszenie.

Arend wysiłał wyobraźnię, aby wynaleźć spo-

sób wyjścia ze swego położenia; długo rozmyślał napróżno, aż nareszcie zdało mu się, że sposób ten znalazł. Jakkolwiek nie mógł nabić strzelby kulą, pomyślał jednak, że silny nabój prochu zdoła oślepić nieprzyjaciela, choćby odurzyć go chwilowo, coby przecież dało więźniowi czas do ucieczki.

Plan zdawał się doskonałym, a przytém był tak prostym, że Arend zdziwił się sam sobie, iż go dawno nie obmyślił. Wsypał więc podwójny nabój prochu do swój strzelby, zatknął otwór lufy suchymi liśćmi i czekał sposobnej chwili. Nie potrzebował czekać długo, a wzięwszy na cel jedno oko nosorożca i wysunąwszy strzelbę prawie na dwie stopy tylko odległości, wypalił. Zwierz ryknął, i do szaleństwa doprowadzony tym nowym bólem, rzucił się, usiłując odsunąć potężny pień baobabu.

— Drugi strzał taki w drugie oko, a będę oswobodzony — pomyślał Arend i już nabijał na nowo, gdy niespodziane a nowe niebezpieczeństwo przedstawiło się nagle.

Garść suchych liści, których użył poprzednio do zatknięcia lufy, zapłonawszy ogniem, podpaliła inne suche liście, któremi grunt był pokryty. W krótkiej chwili ogień ogarnął przestrzeń, otaczającą młodego strzelca ze wszystkich stron. Baobab przestał być bezpiecznym schronieniem. Niezadługo i pień ten musiał się płomieniem zająć. Pozostać, znaczyło to narażać się na śmierć niechybną. Trzeba było uciekać.

Arend nie stracił ani chwili; przesunąwszy się pod drzewem skoczył na nogi i uciekał co siły. Zdawało mu się, że ogień odwróci uwagę nosorożca, ale los zawziął się przeciw nieszczęśliwemu; zaledwie ubiegł dwadzieścia kroków, gdy spostrzegł, że jest znów ściganym. Potworne zwierzę, czy to kierując się pozostałym okiem, czy też nadzwyczaj delikatnym swym słuchem, pędziło tak szybko, że za chwilę musiało uciekającego dogonić. I znowu w tej strasznej chwili Arend doznał czegoś podobnego do rozpacz; śmierć zdawała się nieuchronną; tylko ów potężny instynkt zachowawczy podtrzymywał go jeszcze, ostatnich sił dobywał, róg straszliwy prawie go już dosięgał, gdy nagle ozwało się potężne szczekanie ogara i wrzaskliwy głos krzyknął:

— Tam, panie Williamie! tam ktoś biegnie!

Po chwili Arend był ocalony. Ogar Szukaj, zajadle szczekając, skakał około głowy nosorożca, który musiał rad nie rad zająć się tym nowym przeciwnikiem. Prawie jednocześnie przypadli William i Henryk i potworne zwierzę, otrzymawszy jeszcze jedną kulę we właściwe miejsce, padło, by nie powstać więcej. William i Henryk zeskoczyli z koni i trzej młodzi ludzie uścisnęli sobie dłonie

w milczeniu, z takim uczuciem, jak gdyby się od dawna nie widzieli.

— Co się stało, Arendzie? — krzyknął Henryk wesoło — czyżby ten potwór ścigał cię przez całe dwanaście godzin?

— Tak.

— I jak myślisz, czy długoby ta pogonia jeszcze potrwała?

— Z dziesięć sekund.

— To wybornie! — wołał Henryk, który czuł potrzebę wylania swój radości w wesołych żartach.

— A więc mamy teraz miarę siły twój w nogach; możesz umykać przed pogonią nosorożca przez dwanaście godzin i dziesięć sekund!

William milczał ze wzruszenia. Nie odezwał się, aż gdy przybywszy na miejsce, gdzie leżał lew zabity, zajęto się zabranie siodła Arenda. William radził zatrzymać się do rana w tém otwartém miejscu, aby się nie narażać na spotkanie ze stadami bawołów, nosorożców i słoni, któreby ich mogły zgnieść pod stopami na wązkich leśnych ścieżkach.

— Jest w tém słuszość — rzekł Arend — ale ja mam dwie ważne przyczyny, dla których chciałbym zaraz wracać. Najprzód umieram z głodu i czuję, że bardzoby mi smakował kawałek pieczeni z antylopy upolowanej z rana.

— Mnie także — rzecze Henryk — ale na nieszczęście szakale już nas tam wyręczyły w przyrządzeniu tej pieczeni.

Następnie opowiedziano Arendowi o wszystkiém, co zaszło w czasie jego nieobecności i usmiał się serdecznie z przypadku Facetana i Konga. Potém jednak, opowiedziawszy swoje własne przygody rzekł:

— Żle się rozpoczyna nasza wyprawa! początek nie jest wcale zachęcający.

— Idźmy dalej w dół rzeki — powiedział William — nie dostrześliśmy jeszcze śladów hipopotamów ani giraf; nie zatrzymujemy się, dopóki ich nie napotkamy.

— Nie chcę już widzieć więcej lwów, nosorożców, ani słoni.

— Jakaż jest druga przyczyna, dla której wracać chcesz zaraz? — pytał William Arenda.

— Ależ — rzecze Arend — czy sądzisz, że Hans niema serca? że mu tam miłe czas upływa w oczekiwaniu i niepewności o naszym losie?

Ta uwaga rzeczywiście przeważała wszelkie inne względy. Oddawszy siodło i uzdę zabitego konia Kafrowi, który poniósł ten ciężar na grzbiecie, trzej młodzi ludzie skierowali się z powrotem do obozu. Przybyli tam szczęśliwie późno w noc i znaleźli Hansa w śmiertelnej o nich obawie, jak to Arend przewidział.

## IX.

## Wypadek w podróży.

Nazajutrz myśliwi zwinęli swoje tymczasowe obozowisko i puścili się w dalszą drogę w dół rzeki. Ledwo przeszli koło brodu, gdzie rzekę poprzednio przebyli, a już William wraz z Kongiem wyprzedził innych, na jaką milę przynajmniej. Czynił to w tym celu, aby mu nie uszedł żaden łup, godny jego kulki, zanimby go wystraszyła nadciągająca karawana. Od czasu do czasu płoszył małe gromadki antylop przeróżnych gatunków, tak pospolitych w Afryce, mało dbając o nie. Myślał tylko o tém, aby natrafić na okolicę uczęszczaną przez hipopotamy i girafy.

Po drodze widział mnóstwo wspaniałych pochutników, czyli pandanów. Niektóre były całe pokryte pasorzytnymi roślinami, co im nadawało kształt wysokich wieżyc lub słupów. Pod jednym z tych drzew, w pobliżu rzeki, w odległości około 300 metrów, spostrzegł samicę bawołu z młodem cielątkiem.

Słońce zachodziło, była to więc godzina, w której pieczeń z młodego bawołu przydałady się bardzo, tak dla ludzi jak i dla psów.

Zaleciwszy Kongowi, aby nie ruszał się z miejsca, myśliwiec podszedł pod wiatr i posuwał się ku zwierzynie, ukrywając się za krzakami. Wiedział, jak czujną jest samica bawołu, gdy ma przy sobie swoje małe, i skradał się z największą ostrożnością. Wiedział także, iż zwierzę z nadzwyczajną siłą i odwagą broni swojego potomstwa, chciał najpierw matkę od razu trupem położyć, aby się uchronić od walki, nieuniknionej w razie, gdyby ją tylko ranił. Zbliżywszy się dostatecznie, wziął na cel i dał ognia. Zdumiał się niesłychanie widząc, że bawolica ani pada, ani ucieka, tylko ogląda się, z kąd strzał pochodzi? Była to rzecz niepojęta. Dla czego zwierz nie ruszał się z miejsca? Jeżeli nie jest ranny śmiertelnie, czemuż nie ucieka, uprowadzając swe małe?

— Mogłem z tym samym skutkiem mierzyć do drzewa — myślał strzelec zdziwiony — bo i zwierzę wygląda, jakby było z drewna.

Nabiwszy broń na nowo, szedł teraz prosto naprzód. Wieczera stawała się wątpliwą. Bawolica ani myślała uciekać, dopiero gdy William był tuż przy niej, rzuciła się na niego nagle. Druga kula wymierzona prosto w czoło, pomiędzy oczy, powstrzymała od razu jej zaciekłość; osunęła się na kolana, i skonała w tém położeniu, obyczajem bawołów, grzbietem do góry, zamiast paść na bok, jak inne zwierzęta. Następna kula powaliła

cielątko, beczące żałośnie przy trupie swjej matki. Kongo przystąpił wtedy i oglądając młodego bawołu spostrzegł, że ten miał już wprzód jedną nogę złamaną. Dopiero William zrozumiał niepojęte zachowanie się matki; jej małe ze strzaskaną nogą nie mogło uciekać, a więc w czułości swjej macierzyńskiej i ona pozostała przy niem na miejscu.

*D. c. n.*

## SZARADA.

(T. K. z Hulidowa).

Pierwszą trzecią — dobrze znacie  
I wszyscy bardzo kochacie;  
Druga piąta — dwie litery,  
A w nich książki i papiery;  
Czwarta piąta podtrzymuje  
Groch, fasolę i powoje.  
A całość jest to nauka,  
Która.... ale odgadnąć to sztuka.

## Łamigłówa zgłoskowa (R. Sk.).

Z następujących zgłosek: bek—cy—dya—i—  
in—jój—jąc—ka—ko—ku—nie—nin—o—o—rzec—  
—sa—świn—ski—ta—ti—twar—u—wrucz—za—  
ułożyć 10 wyrazów: 1. Miara. 2. Miasto powiatowe na Wołyniu. 3. Uczony biskup. 4. Roślina. 5. Mieszkaniec Azji. 6. Poeta. 7. Przedmiot zimowy. 8. Zwierzę. 9. Naczynie. 10. Wyspa na oceanie spokojnym. Pierwsze litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko sławnego wodza z czasów nowszych, końcowe, także od góry do dołu nazwisko dzielnego hetmana dawniejszego.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

## Zadania konikowego:

Mile gadka dawniej treści  
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;  
W starych czasów to powieści  
Stara dzielność się ukrywa.  
Był czas, gdyśmy za przedmurze,  
Za tarcz ludom, światu stali;  
Był czas, gdyśmy wschodnie burze  
Piersią naszą odpierali.....

„Giermek” Morawskiego.

## Łamigłównki zgłoskowej:

Rabat.  
Ametysty  
Figowiec  
Andy  
Elba  
Londyn.  
Rafaël — Tycyan.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**Józi i Ludce na Żmujdzi.** Otrzymałiśmy w liściku ślicznie kaligraficznie napisanym, hojny datek 2. rs 30 dla ubogiej wdowy na stragan, za co serdecznie składamy dzięki całemu domowi, który się na to złożył z takim pośpiechem i gotowością, a wdowa zasyła modły dziękczynne do Boga za swych ofiarodawców.

**Kazi C. w Piotrkowie.** Liścik, bardzo ładnie napisany i tą razą dobrze zaadresowany, odczytaliśmy z wielką przyjemnością, dziwiąc się nie pomалу, że kochana korespondentka nasza potrzebowała na to aż... odwagi! Teraz jednak nie wątpimy, że „po przełamaniu pierwszych lodów“ utrzyma się pomiędzy nami tak miła korespondencya.

**Kaziowi W. w Warszawie.** Łamigłównki zupełnie dobrze ułożone i bardzo starannie napisane; umieścimy je w Pisemku, ale prosimy o cierpliwość, bo dużo dawniejszych się nabywało, a musimy wszystkim kochanym współpracownikom naszym dogodzić.

**Martyni C. w Janczyńcach.** Żądane N-ra wysłane, zapewne dawno już doszły. Zagadka trafnie odgadnięta, my także, sądząc z porządnie napisanego liściku, nie wątpimy, że z czasem ta mała rączka przesyła nam wyborne rozwiązanie. Podpis „szczerza przyjaciółka“ jest dla nas bardzo miły.

**Maryni R. w Markowcach.** Nietylko uczennice pani Św. czytają z takim zajęciem „Brańca tatarskiego“. Wielu czytelników naszego Pisma donosiło nam, że im się ta powieść niezmiernie podobała i upominało się o Część drugą. To też ucieszyliśmy się, otrzymawszy tę oczekiwaną część drugą, którą zaraz w następnym N-rze rozpoczniemy. Zdania czytelników o naszym Piśmie, wypowiedziane z zupełną szczerością, są dla nas bardzo pożądane. Ocena podróży, zamieszczanych w ostatnich czasach, jest bardzo trafna i zupełnie słuszna. W ogóle pisarze francuzcy grzeszą często w tym dziale literatury wielką przesadą i niedokładnością, a jeśli „Wyprawa po skarby“ z francuzkiego wzięta, wolna jest od tych zarzutów, to dla tego, iż tłumacz zupełnie ją przerabiał i właściwie naśladował tylko oryginał.

**Alicze Św. w Markowcu.** Najpierw upewniamy, że liściki naszych kochanych korespondentów, choćby najdłuższe, nigdy nas nie nudzą, ale przeciwnie są dla nas rozrywką i przyjemnością. Cieszymy się, że powiastki nasze tak się

podobają, a i za wiadomość przesłaną „w sekrecie“ dziękujemy, bo szczerowość zawsze na największą pochwałę zasługuje. P. M. Zielińska jest stałą współpracowniczką Pisma, i przygotowała już kilka powieści, które zapewne niemniej czytelników zajmą jak dawniejsze. Łamigłównkę wydrukujemy. Mamie donosimy, że powiastkę z redakcyi „Przyjaciela Dzieci“ otrzymaliśmy już przed kilku dniami.

**Maryni B. w St. Konstantynowie.** Nie zapomnieliśmy wcale o dawniej naszej korespondentce i serdecznie jej dziękujemy, że nawiązała nam nowo zaniedbaną korespondencyą. Przerwa w czytaniu a nawet i w naukach, gdy są do tego tak ważne powody, nie może się nazywać stratą czasu. Pisanie dziennika dla starszej zamężnej siostrzyczki jest przedsięwzięciem na największą pochwałę zasługującym. Trzeba tylko starannie zachować taki dzienniczek, a odczytanie go w czasach późniejszych może niejedną chwilę życia uprzyjemnić słodkim wspomnieniem. Z wielką radością dowiedzieliśmy się, że Pismo nasze tak pilnie jest czytane przez siostrzyczkę Jadwinę i zasyłamy jej serdeczne wyrazy współczucia.

**Maryni D. w Delatyczach.** Widok dużych literek, tak dobre znanych, zawsze miłe na nas wywiera wrażenie. Nie wątpiliśmy, że uboga wdowa dobrze wyjdzie na tym, gdy ją polecimy poczciwym serduszkom naszych kochanych czytelników, ale skutek przeszedł nasze oczekiwania; rubelki napływają ze wszystkich stron, a przesłany obecnie przez miłe rodzeństwo, Marynię i Jasię, dołączyliśmy do sporęj, uzbieranęj już sumki i pośpieszymy donieść ofiarodawcom, gdy stragan będzie kupiony.

**Kostusiowi M. w Radomiu.** Liścik otrzymaliśmy, prosimy o cierpliwość na parę tygodni jeszcze.

**Waluni Pr. w Rześniówce.** Dar z własnych funduszów, szczerem sercem ofiarowany, jest zawsze najcenniejszy. 50 kop. dla ubogiej wdowy na stragan dołączyliśmy do kwoty na ten cel zebranej, a która już niezadługo będzie dostateczna, dzięki kochanym naszym czytelnikom.

**Jadwini B.** Rubel dla ubogiej wdowy i 50 kop. od G. na ten sam cel, otrzymaliśmy w króciutkim liściku.

**Janowi P. w Warszawie.** Przesłaną łamigłównkę wydrukowaliśmy chętnie, ale litera o nie może zastąpić litery ó a trudno znaleźć wyraz kończący się na tę literę.

**Edziowi S. w Warszawie.** Liścik dawnego korespondenta, który o nas był zapomniany, odczytaliśmy z wielką przyjemnością, szczególnie pochwalić musimy piękną kaligrafią; rzadka to rzecz w obecnym czasie, zwłaszcza pomiędzy uczniami. Radzibyśmy także otrzymać wiadomości z Zakopanego i prosimy o nie bardzo. Na resztę listu odpowiedzieć jeszcze nie możemy.

**Zosi W.** Rs 1. kop 50, to wcale nie „drobne ziarnko“ do miarki, przez kochanych naszych czytelników wypełnionej po brzegi dla ubogiej wdowy, która szczerze modły zasyła do Boga za nich.

**Od Jerzego i Maksa** otrzymaliśmy na ten sam cel rs 2, za które w imieniu biednej wdowy serdecznie dziękujemy.

# REZEDKA.

St. Moniuszki.

Andantino.

Gdy się dzie - cię prze - bu - dzi - ło Pa - trzy desz - czyk pa - da O jak - że się  
Już głów -ecz - kę po - chy - la - ła Wi - dzia - łem ją w smut - ku Lecz Twa do - broć

u - cie - szy - ło Aż rą - czy - ny skła - da Jak - żeś mó - wi do - bry Bo - że  
pa - mię - ta - ła O mo - im o - gród - ku Oj o - gród - ków du - żo w świecie

Ze - sła łoś deszcz z nie - ba Bo też wła - śnie na re - zed - kę By - ło go po -  
Bo - że jak - żeś wiel - ki Ty na każ - dy spu - szczasz ro - sy O - ży - wczę - kro -

trze - ba by - ło go po - trze - ba.  
pel - ki o - żyw - cze kro - pel - ki.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



DZIEWCZYŃKA I GOŁĄBEK.

**D**orotka, piętnastoletnia pаниenka, miała ślicznego gołąbka, którego lubiła uieźmiernie, sama go zawsze karmiła i pielęgnowała. Manusia, pięcioletnia siostrzyczka Dorotki, bardzo pragnęła mieć także swojego własnego ptaszka.

Razu jednego piastunka przyniosła jej na wiązanie ładnego szczygiełka w klatce. Wielka była radość Maniusi. Pierwszego i drugiego dnia co chwila przybiegała do klatki, przynosiła różne przysmaki ptaszkowi, zmieniała mu wodę, ale na trzeci dzień już jej się to uprzykrzyło, a czwartego dnia zapomniała zmienić wodę w klatce

— Maniusiu — rzekła Dorotka — postaw klatkę szczygiełka w moim pokoju, to ja o nim będę pamiętała, bo biedactwo zginie, jeśli mu nie będziesz dawała jeść i pić w porę.

Zawstydzila się Manusia i powiedziała, że ona nie zapomni o ptaszku, że to tylko raz jeden przypadkiem się wydarzyło, a klatki nie chciała wynieść ze swojego pokoju.

Przez parę dni rzeczywiście miała staranie o szczygiełka, ale nie trwało to długo i raz Dorotka zastała biedną ptaszynę leżącą prawie bez życia w klatce, w której nie było ani ziarna, ani kropli wody.

Wtedy starsza siostra zabrała klatkę do siebie, nie pytając o pozwolenie Maniusi, a gdy dziewczynka, spostrzegłszy to, chciała się upomnieć o swojego ptaszka, powtarzając, że to jej własny szczygiełek, że ma prawo do niego, Dorotka powiedziała:

— Nie, Maniusiu, ty nie masz prawa mężczy stworzenia Bożego; nie możesz mu wrócić życia, gdy zginie z głodu z powodu twojego niedbalstwa, więc powiedz sama, czy godzi się, abyś mu to życie odbierała dla igraszki?

Manusia spuściła główkę, bo poznała, że starsza siostrzyczka ma słusność. Ale prosiła bardzo, aby jej pozwoliła pielęgnować ptaszka razem z sobą, a od tej pory szczygiełkowi było bardzo dobrze, bo Manusia już nigdy o nim nie zapomniała i nakoniec Dorotka oddała jej klatkę.

## WIĄZANIE WNUCZEK

### OBRAZEK DRAMATYCZNY

w dwóch odsłonach

przez Bogumiłę.

Osoby:

ZOSIA, lat 12.

JADWISIA, lat 10.

Rzecz dzieje się w mieście.

### ODSŁONA PIERWSZA.

*Scena przedstawia pokój gustownie umeblowany.*

SCENA PIERWSZA.

ZOSIA (sama)

*(Siedzi, trzymając w ręku książkę, którą opuszcza na kolana i zamyśla się.)*

Nudzi mnie dzisiaj czytanie,  
Bo myśl czem innem zajęta.

(*Po chwili*)

Coby to dać na wiązanie  
Babuni, przy dniu jej święta?

SCENA DRUGA.

ZOSIA, JADWISIA.

JADWISIA, (*wchodząc z lalką w ręku.*)  
No cóż, Zosiu, i cóż damy?

ZOSIA.

Trzeba się poradzić Mamy,  
Ja nic wymyślić nie mogę.

JADWISIA, (*z żywością.*)

Kupmy dywan....

ZOSIA.

To zbyt drogie,  
Zresztą Babunia mówiła,  
Że jej kupna rzecz niemiła,  
I że nie to jest wiązanie.  
Co za pieniądze dostanie,  
Ale praca własnej ręki,  
Winna być darem panienki.

JADWISIA.

Więc cóż zrobić?

ZOSIA.

Nie wiem sama,  
Chyba nam poradzi Mama.

JADWISIA.

Możebyśmy teatr grały?

ZOSIA.

Teatr? Na to czas za mały,  
Zresztą, wszakże dwie nas tylko.

JADWISIA (*prędko.*)

Poprośmy Kazię z Emilką,  
Ona chętnie nam pomoże;  
To udieszysz Babcię drogą.

ZOSIA.

Lecz zkądże wziąć dobrej sztuczki,  
W której kochające wnuczki  
Wdzięcznośćby swą okazały  
I miłości ogrom całej?

(*Chwila milczenia*)

ZOSIA (*zrywając się nagle z miejsca.*)

Co za radość! pomysł nowy  
Przyszedł mi nagle do głowy.

JADWISIA

Ach! mów prędko, co takiego?

ZOSIA (*z dumą.*)

Coś bardzo, bardzo pięknego!  
Słuchaj tylko... rzecz jest taka:  
Wiesz, jak Babunia pocziwa  
Darzy każdego biedaka,  
Który jej pomocy wzywa;  
Wiesz, jak zawsze otoczona  
Jest przez swoich biednych grono,

I jak do litości skora,  
Gdy się dowie, że jest chora  
Matka ubogiej rodziny,  
Nie czeka ani godziny,  
Tylko pośpiesza z pomocą;  
I czy to dniem, czy też nocą,  
Nie szczędzi trudu ni pracy.  
Kochają też ją biedacy,  
Mówiąc ze łą: Pani święta,  
Niech ci Pan Bóg to pamięta!

JADWISIA.

Ja to słyszałam od Mamy,  
Lecz mów, co Babuni damy?

ZOSIA (*z zapalem.*)

Mamy pieniądz; sposób łatwy,  
Kupmy płótna, perkaliku,  
Koszul i sukien bez liku  
Poszyjmy dla biednej dziatwy,  
I zabawki nasze stare  
Złożmy dla nich na ofiarę.

JADWISIA.

Zgoda, zgoda, doskonale,  
Ja dam nawet moją lalę.

ZOSIA.

A potem, jako wiązanie,  
Wszystko Babuni oddamy;  
Napiszem powinszowanie,  
Zobaczy, jak ją kochamy.

(*Po chwili*)

Ale nie rządźmy się same;  
Trzeba o to spytać Mamę,  
A gdy Mama to pochwali,  
A i sama dopomoże,  
To i reszta pójdzie dalej.  
Biegnę zatem w Imię Boże.

(*wybiega*)

SCENA TRZECIA.

JADWISIA (*sama, całuje lalkę.*)

Lalko! bardzom cię kochała  
Lecz cię oddam, moja mała.

(*wybiega.*)

Zastona spada.

(*D. n.*)

## MATECZKA FASOLA.

(z FRANCUSKIEGO).

(*Dokończenie.*)

### IV.

Pocziwa ropucha zabrała się do roboty  
i zasadziła fasolkę w wilgotną ziemię, a ziarenko  
wkrótce zaczęło się budzić do życia. Ale tak

napęczniało, że strasznie mu było ciasno w zwierzchniém okryciu, więc rozpychało je póty na wszystkie strony, aż póki nie pękło. Zaraz mu się lżej zrobiło.

Każda fasolka, jak tylko się do życia przebudzi, uczuwa głód i potrzebuje pokarmu. Ale czém tu jeść, kiedy młodziutka roślina nie ma jeszcze korzonków? Na szczęście Ten, który stworzył wszystkie żyjące istoty i pamięta o nich, nie zapomniał także i o młodych fasoleczkach. Więc Bóg dobry powiedział:

— Te biedactwa są takie opuszczone! mateczka ich zginie w jesieni, nie będzie mogła ich dojrzeć, ani potrzeb ich zaspokoić; trzeba im przygotować zawczasu zapas żywności, ażeby ją przy sobie znalazły, gdy się przebudzą ze snu.

Dla tego to każda fasolka ma pokarm gotowy, gdy żyć zaczyna. Nasza mała znajoma wybornie sobie zajadała i prędko rozrastała się w ziemi, a jednak nie widać było jeszcze listeczków wychodzących na wierzch.

Pewnego rana, gdy nadeszła ropucha, spostrzegła, że mateczka fasola była smutniejsza niż zwykle i przyjęła ją bardzo chłodno. Zapytała co to znaczy, a fasola rzekła:

— Moja kochana, jak mogłaś być tak niezgrabną; zasadziłaś moje biedne maleństwo do góry nogami, a teraz korzonek mu wyrasta w górę.

— Otóż masz! — powiedziała ropucha — czy ja mogłam zgadnąć, z której strony ten korzonek wyrośnie? Ale to nic nie szkodzi, ta mała jest zdrowa i silna, pewna jestem, że się sama obróci tak, jak potrzeba.

I tak się stało. W kilka dni korzonki młodej fasolki, które nie lubią światła, odwróciły się i schowały pod ziemię, a dwa ładne listeczki zielone wyjrzały na świat Boży.

Wielka była radość mateczki, gdy je obaczyła. Dziecina wzrastała zdrowo, otoczona miłością i troskliwością, pocziwa ropucha wyjadała starannie ślimaki i owady, które jej mogły szkodę wyrządzić. Czekają ją jednak ciężkie zmartwienie, straciła wkrótce mateczkę. Stara fasola zaczęła żółknąć, schnąć i nakoniec uschła zupełnie w połowie Września.

Młoda, osierocona fasolka przywiązała się bardzo do chwaściku, a ponieważ ogrodnik nie pamiętał o niej i nie dał jej tyczki, więc owinęła się na chwaściku. Tam, w objęciu wiernego tego przyjaciela, zastał ją pierwszy jesienny przymrozek.

Noc była jasna, pogodna, obie roślinki do rana jeszcze wpatrywały się w księżyc, płuwający po niebie, ale z wolna wpadały w odrętwienie. Gdy słońce weszło, one go nie ujrzały, obie już nie żyły.

I ropucha także wpadła w odrętwienie. Śnieg pokrył ziemię białą, miękką kołderką, a w ogrodzie wszystkie roślinki spały spokojnie i cicho, na wiosnę dopiero niektóre miały się znowu przebudzić.

## KIZIO ZAWSTYDZONY.

— Jak się masz, mój śliczny Kiziu — mówiła Lucia do swego czarnego kotka — pewno się napracowałeś, łowiłeś myszki całą noc, pełniłeś swój obowiązek, pójźże teraz, to dostaniesz śmietanki, bo ją umyślnie dla ciebie schowałam od śniadania. Ale cóż to? ty masz widzę całą bródkę w śmietance umaczaną! Czyżbyś ty się dobrał sam do garnuszka?...

Tak mówiąc, spojrzy Lucia na okno, gdzie postawiła śmietankę, a tam garnuszek przewrócony i śmietanka po ścianie splywa na podłogę. Kizio zawstydzony chciał uciekać, ale Lucia przyprowadziła go do okna i tak powiedziała:

— Gdybyś był grzeczny, wypiłbyś wszystką śmietankę ze spodeczka wygodnie, bo bym ci ją dała sama, a tak przez łakomstwo śmietankę wylałeś, umaczałeś w niej tylko brodę, i w dodatku straciłeś łaskę swojej pani!

Idźże sobie teraz; tyle się na niegrzeczności zyskuje.

## PRYZGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

(Dalszy ciąg.)

Nieraz przy tej robocie spłoszyło je hasło dawane przez inne siostrzyczki, które zobaczywszy krążącego jastrzębia lub skradającego się kota, przestrzegały o niebezpieczeństwie. Wtedy zlatywano się tłumnie z gotowością do wspólnej obrony.

Jaskółki w ogóle lubią zajmować się innym ptactwem, z mieszkującym stale lub tak, jak i one, chwilowo przebywającym w tej samej okolicy. To też i naszą znajomą zaciekawiał bardzo dudek czubaty i niezmiernie zabawny z powodu swoich śmiesznych ru-

chów. Złowiwszy on owada, igra z nim, podrzucając dzióbkiem w górę i chwytając spadającego, nim go spożyje w końcu. Zajmowały ją szczygły z główkami i gardziółkiem czerwonym, gnieźdzące się na wysokich drzewach. Zwawe pliszki, złoto-żółte wilgi, błękitne sójki z sutym czubem na główce. Sikory zamieszkujące w nadbrzeżnych sitowiach i wiklach. A nawet szary, przezorny wróbel, którego spotykała często zajętego skrzętnie wybieraniem ziarek w zasiewach lub skradającego się za gąsienicami i innymi owadami, jakie dla swój licznej dźwiatwy dostarczać musi.

To znowu jaskółeczka, unosząc się w powietrzu, lubiła śledzić maleńką ptaszynę brunatno-upstrzoną, która wlatywała w górę prosto z gniazdka, na świeżej zasnętego roli, i zawieszona gdzieś w obłokach, trzepocąc skrzydełkami, nuciła śliczną piosneczkę, a z zakończeniem śpiewu spadała nagle na ziemię. Był to skowronek, ulubiony zwiastun wiosny i towarzysz prac rolnika. W późniejszej nieco porze zjawiał się tu i słowik popielatawy, który wszystkie ptaszki przewyższał swym najwdzięczniejszym głosikiem.

A co było ciekawych, wtrącających się wszędzie strzyżyków, tych niezmiernie figlarnych malców, które z zadartym ogonkiem i czupurną postawą w ciągłym są ruchu; Co większego ptactwa, między którem zwracały uwagę szpaki przezorne, gwarliwe i gospodarne, kosy, pięknie gwizdające, czajki ruchawe, ostrożne a słynne ze swego przywiązania do potomstwa i ze swój przebiegłości; gdy dojrzą zbliżającego się do gniazda nieprzyjaciela, to tak trzepocą skrzydełkami i hałasują wrzaskliwie, aż go odstraszyć muszą. Zabawne też bywają ponad wodą przebywające bekasy, dubelty, krzyki z dziwnie głupowatą miną, słonki i t. p.

Latając ponad polami, zbożem pokrytymi, widziała i tam żyjące rozmaite ptactwo, równie zajmujące swemi obyczajami jak powierzchniścią. Znajdowały się tam synogarlice, zabawnie wołające „cu-kru!“ Kuropatwy lekliwe, które za każdym popłochem kryją się w trawie, a tylko w ostatniem niebezpieczeństwie podlatują stadami w górę. Przepiórki, wywołujące znane rolnikom hasło rozpoczęcia żniwa.

Nad niwami z tatarką przebywały często piękne, czarne, pasowem nakrapiane guł-

sce, z piórami u podgardla nakształt brody przedłużonemi, jarzębki, cietrzewie, które za ziarnem tataraki, jako ulubionym sobie przysmakiem, z lasów gonią, a za któremi znów myśliwi tak się ubiegają. Jednym słowem wszędzie taka mnogość skrzydlatych stworzeń, że jaskółce ciekawe, bystre oczęta ledwo starczyć mogły w rozpoznawaniu cech przetrzecznych.

— Ach! jak to wesoło w powietrzu, jak gwarno i przyjemnie żyć pomiędzy tylu swobodnymi towarzyszami—myślała, i drobniutka jej postać gubiła się radośnie w przestrzeniach bezgranicznych.

Razu jednego doświadczyła przecież wielkiego przestachu, i ledwo żywa do gniazda wróciwszy, długo z niemilego wrażenia ochłonać nie mogła. Było to w ogrodzie. Spotkała tam nieznanego sobie dotąd ptaka, którego niewielka postawa wcale groźną z pozoru się nie wydawała. Miał on grzbiet szary, spód ciała białe upierzony, a przez oczy i skrzydła pręgę czarną. Jaskółka jednak, przypatrzwszy mu się lepiej, spostrzegła szkaradny dziób zagięty, jakim na wzór drapieżnych ptaków był zaopatrzony.

Siedząc na krzaku, kręcił ustawicznie ogonem w różne strony i wydawał głos dziwnie podobny do śpiewu szczygła, którego widocznie usiłował przedrzeźniać.

Nasza mała ciekawska zastanawiała się nad tym szczególnym ptakiem, gdy ten nagle, po chwilowem rozglądaniu się wśród okolicy, zerwał się i pofrunął do gniazda, upatrzonego na poblizkiej wierzbie, a wyniosłszy z tamtąd młode pisklą, wbił je żywcem na gałązkę tarniny. (D. c. n.)

### Zagadka.

Śpiewa w nocy w krzwinie,  
Pięknością śpiewu słynie  
Ponad wszelkie śpiewaki—  
Kto to może być taki?

### Łamigłówka w kwadraciku.

(Waluś P.)

W kwadraciku z 9 podziałek umieścić  
2 A—2 O—2 K—1 T—1 B—1 R—aby ułożyć  
w obu kierunkach: 1. Zwierzę zestawne. 2. Mia-  
sto. 3. Zwierzę domowe.